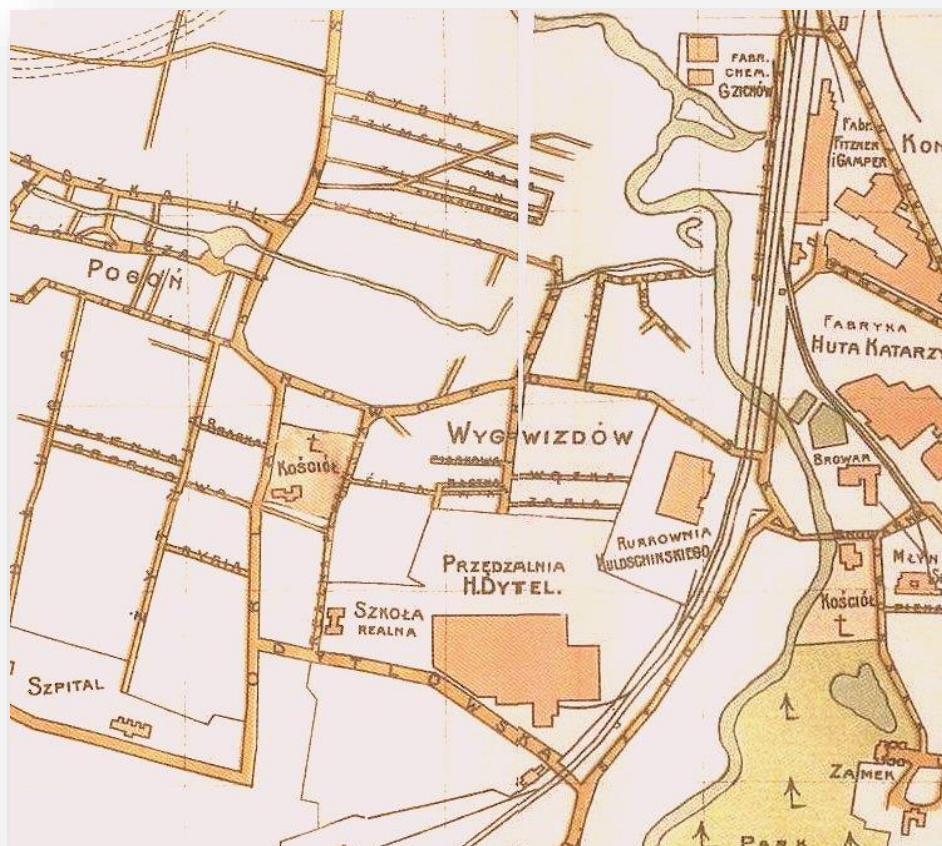


OSIEDLE ROBOTNICZE - „BIAŁE DOMY”



Mapa Michała Klenicy z 1907 roku.

Jeszcze wówczas miasto Sosnowiec nie istniało. Powstanie bowiem dopiero z ukazu Cara Imperium Rosji w 1902 roku. Gdy w drugiej połowie XIX wieku do zagubionej jeszcze wtedy wsi Pogoń, rozciągającej się pośród rozległych kolorowych pól, łąk i szumiących sosnowych lasów, dotrą pierwsi emisariusze żydowskiego fabrykanta **Samuela Huldshinsky'ego**, by dokonać na korzystnych dla siebie warunkach zakupu ziemi pod kolejną już fabrykę. Bowiem jedną dobrze już prosperującą hutę ten fabrykant posiadał w Cesarstwie Niemieckim, w ówczesnym mieście o nazwie **Gleiwitz** (obecne Gliwice). Wybrany przez nieznaną nam dzisiaj emisariuszy teren na budowę podobnej jak w Gliwicach, też dużej fabryki jak się okazuje jest wyjątkowo korzystny, gdyż jest rozlokowany dosłownie obok pociągniętej tuż, tuż już w 1859 roku linii kolejowej, zwanej Drogą Żelazną Warszawsko-Wiedeńską (*Варшавско-Венская железная дорога*). Ponadto opodal tego terenu wije się do tego jeszcze krystalicznie czysta rzeka – Czarna Przemsza. A zasoby czystej wody i to w dużych ilościach są też niezbędne by tego typu fabryka mogła dobrze prosperować i jeszcze przynosić znaczne dochody. Usytuowanie więc fabryki nie tyle w pobliżu, co dosłownie na styku z centralną linią kolejową, w takich interesach szczególnie więc się liczy, gdyż pozwalała to właścicielowi na wyjątkowo korzystnych warunkach niż inni tutejsi inwestorzy, którzy znacznie dalej już rozlokowali swe zakłady pracy, na szybki, niemal błyskawiczny transport wyprodukowanych w hucie towarów. Wstępne rozmowy ponoć

początkowo przebiegały jednak jak po przysłowiowej grudzie, gdyż każda ze stron starała się na tym interesie coś bardziej intratnego dla siebie jeszcze ugrać. No cóż bowiem takie też kanony w tego typu interesach bywają. W wyniku kolejnych już jednak pertraktacji, Johannes Maria Graf von Renard za pośrednictwem swego plenipotenty, w końcu odsprzedaje jednak te tereny Samuelowi Huldschinsky'emu (Henryk Rechowicz, „*Sosnowiec – zarys rozwoju miasta*”, Kraków 1977, s. 35). A sytuacja w tym okresie na tych terenach staje się dla zagranicznych inwestorów wprost bajecznie korzystna. Bowiem równoczesne uwłaszczenie chłopów w Królestwie Polskim radykalnie pozbawia dawnych właścicieli ziemskich niemal bezpłatnej siły roboczej i tym samym zmusza ich do przestawienia się na gospodarkę opartą na zasadach kapitalistycznych. W takim więc systemie gospodarczym największe zyski przynosiło uruchamianie dużych zakładów przemysłowych i kopalń, gdyż surowiec w postaci węgla kamiennego akurat na tym terenie zalegał niemal wszędzie. Z kolei sytuacja dla inwestorów zagranicznych o tyle stała się jeszcze bardziej korzystna niż dotychczas, bowiem nie tylko w mig można było już pozyskać tanią siłę roboczą, ale nastąpiły też istotne zmiany w dotychczasowym systemie celnym. W tym samym bowiem niemal czasie Imperium Rosyjskie w walce o wpływy i pozyskanie kapitału, wprowadziło w życie bardzo korzystne dla inwestorów zagranicznych cła, w wyniku których z dnia na dzień nieopłacalny stał się eksport wszelkich towarów z Niemiec do Cesarstwa Rosyjskiego. Inwestorzy, głównie niemieccy lokują więc w pośpiechu swój kapitał w Królestwie Polskim, skąd mogą już teraz bez opłat celnych wysłać wyprodukowane towary na bezkresne obszary Rosji. A przecież wśród takich europejskich graczy liczy się przecież tylko interes i wielka bajeczna kasa, a nie altruizm jak to naiwni mogą sądzić.

W roku 1881 na zakupionym wzdłuż linii kolejowej terenie, powstaje więc w stosunkowo szybkim tempie, a później jeszcze znacznie się rozbuduje fabryka, która już niebawem przeobrazi się w dużą hutę żelaza, ba nawet jedną z największych w Zagłębiu Dąbrowskim. Dosłownie obok tej fabryki i troszeczkę jeszcze dalej powstaną też jeszcze inne zakłady pracy. Bowiem druga połowa XIX wieku na tych terenach, podobnie jak i w pierwszych latach XX wieku jest w pewnym stopniu porównywalna do bumu przemysłowego jaki miał wtedy też miejsce nawet w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Fabryki, huty, kopalnie i cały szereg jeszcze innych zakładów pracy powstają więc na tych rozległych zagłębiowskich terenach w takim tempie i tak błyskawicznie, i w takich ilościach, że wzbudzą nawet podziw wśród znawców tematyki inwestycyjnej oraz wyzwolą też niedowierzanie wśród ludzi nauki z Królestwa Polskiego i z Imperium Rosyjskiego. Wieści o powstających fabrykach i kopalniach na tym prawie bezludnym terenie docierają więc błyskawicznie do zabiedzonych i przeludnionych wsi w Królestwie Polskim. Podaż na siłę roboczą na tych wiejskich terenach rośnie więc z dnia na dzień i nabiera coraz to większej dynamiki. W takich konkurencyjnych sytuacjach i w walce o korzyści materialne, gdy jeden kapitalista drugiemu podkłada nogę, w pewnej chwili zaczyna więc na gwałt brakować wykwalifikowanych pracowników. Przybysze, głównie ze wsi przede wszystkim więc szukają miejsca zatrudnienia, ale równocześnie też jako takich warunków do zamieszkania. Fachowcy z kolei, a takich zawsze w tym na gwałt uprzemysławianym środowisku brakuje, wyczuwając koniunkturalną dla siebie sytuację, podbijają więc zręcznie u właścicieli zakładów pracy cenę swej wartości. Z kolei właściciele aby najzdolniejszych pracowników w swoim zakładzie zatrzymać i na gwałt pozyskać jeszcze nowych, budują więc ze swej kiesy **osiedla mieszkaniowe**. I tak już pod koniec XIX wieku, stopniowo zaczynają w okolicy fabryki Samuela Huldschinsky'go powstawać z jego kiesy fabryczne osiedla dla urzędników i robotników. Właściciel, a później właściciele z tej fabryki, gdyż ojca ponoć też jeszcze będą wspierali jego synowie, przystąpili więc już pod koniec XIX wieku do budowy dla swych pracowników **trzech fabrycznych osiedli mieszkaniowych**. Jedno osiedle dla robotników zostanie więc już niebawem wybudowane tuż, tuż obok „Rurkowni Huldczyńskiego”, przy wijącej się jeszcze wtedy wiejskiej piaszczystej drodze, która dopiero później otrzyma nazwę uliczki Nowopogońskiej. Inne wyłącznie tylko dla kadry dyrektorskiej i urzędniczej powstanie przy obecnym Placu Tadeusza Kościuszki i dwa osiedla dla robotników, powstaną obok dzisiejszych nowosieleckich basenów kąpielowych, które z upływem czasu wśród miejscowych ludzi będą właśnie określane mianem **„Białych Domów”**.

* * * *

Pierwsze zabudowania robotniczego osiedla „**Białych Domów**” wybudowane więc już zostaną pod koniec XIX wieku. A będą nimi budynki typu koszarowego, usytuowane po lewej stronie widocznej drogi na poniższym rysunku autora, mniej więcej naprzeciw stojącego i dymiącego niemiłosiernie parowozu z doczepionymi doń wagonami. Jako ciekawostkę może jeszcze tylko podam, że z kolei widoczna furmanka stoi dosłownie w centrum dzisiejszego Placu Tadeusza Kościuszki. A są to wszak już końcowe lata zaborów Rosji carskiej,



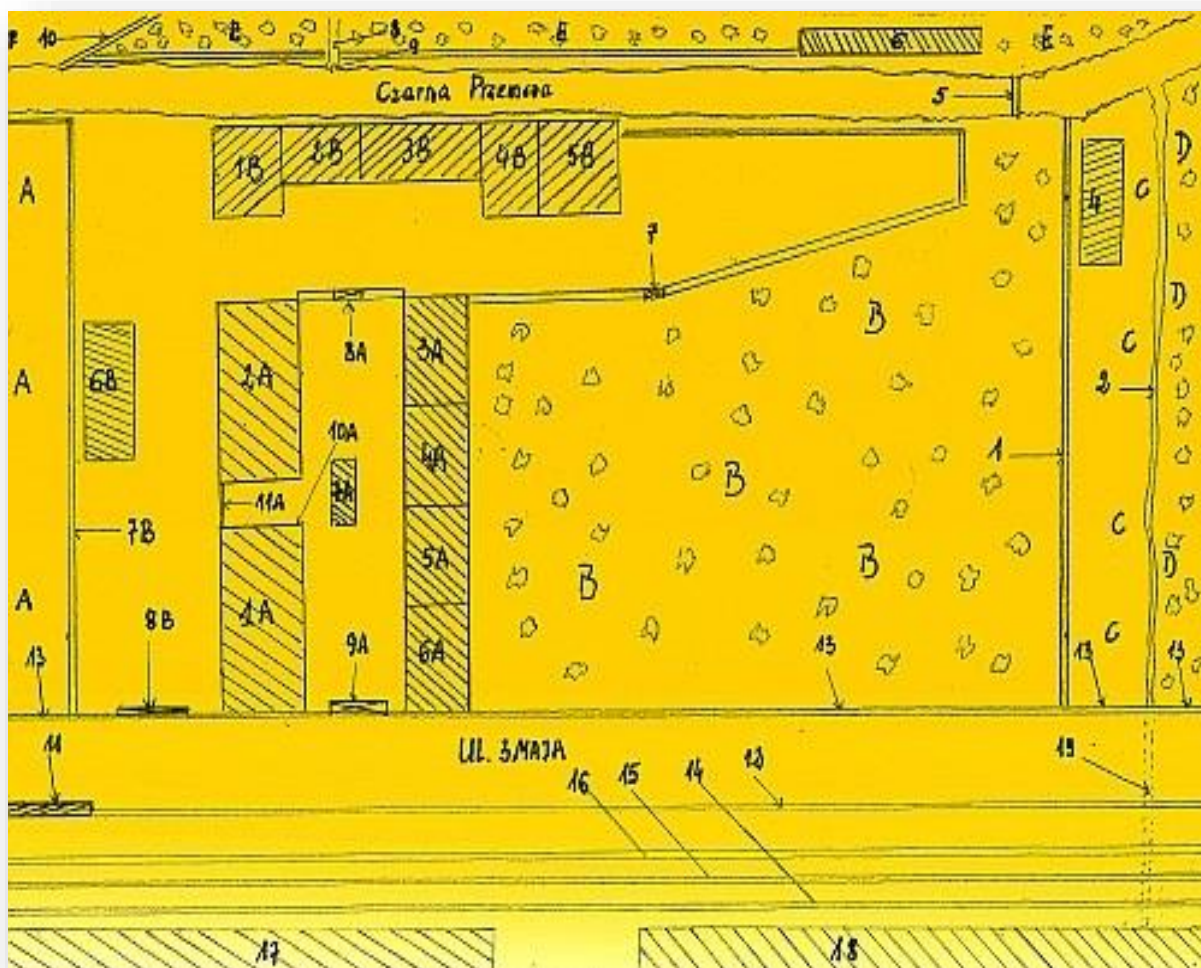
RYSUNEK AUTORA

*Na pierwszym planie przysły Plac Tadeusza Kościuszki, a poza torami Kolei Warszawsko – Wiedeńskiej „Rurkownia Huldczyńskiego”. Po lewej stronie klepiskowy wiejski trakt z 1907 roku ulicy **Szerokiej**. Identycznie zwana była jeszcze w pierwszych latach II Rzeczypospolitej Polski, z tym, że w końcowym okresie ozdobiono już ją nazwą jako ulica **3 Maja**, w latach 1939 - 1945 ulica **Garten** (Ogrodowa), po 1945r. ulica **3 Maja**, później **Stalinogrodzka**, a od 30.X.1956r. ulica **Czerwonego Zagłębia**, a obecnie **Plac Kościuszki**.*

Robotnicze osiedle mieszkaniowe zwane „**Białymi Domami**” powstawało więc na terenie, gdzie jak na powyższym rysunku doskonale jeszcze widać, to po jednej stronie dominował już przemysł i dymiące hutnicze kominy, a z kolei po drugiej stronie jeszcze wiejski pejzaż i szerzący się wokół niemiłosierny bałagan. Już na wstępie tylko zaznaczam, że osiedle zwane „**Białymi Domami**” w rzeczywistości to składało się nie z jednego tylko osiedla, ale z dwóch odrębnych osiedli robotniczych, do tego jeszcze ściśle od siebie oddzielonych murami i o zupełnie, ale to zupełnie odmiennej też szacie architektonicznej. O czym znacznie więcej w dalszej części tego artykułu.

Droga, a nie ulica, jeszcze wtedy nie tylko była byle jak wytyczona i piaszczysta, ale do tego jeszcze od strony linii kolejowej oddzielono ją prostackimi podkładami kolejowymi, określanymi już jednak wtedy z zachwytem jako ozdobny parkan, co współcześnie zakrawa na kpinę. Duży fragment tych carskich „parkanów” niestety ale jeszcze przetrwały do lat 60. XX wieku. Już na wstępie pragnę jednak rzetelnie podkreślić, że klucze do mieszkań nie tylko na tym osiedlu otrzymywali wtedy tylko nieliczni robotnicy. To było swoiste, wprost totolotkowe wyróżnienie, by spośród około 1000 zatrudnionych robotników w „Rurkowni Huldczyńskiego” otrzymać upragniony klucz do swojego wymarzonego w snach i na jawie mieszkalnego lokalu. O tym zjawisku niestety ale trzeba pamiętać w trakcie zapoznawania się z opisem sosnowieckich osiedli mieszkaniowych, gdyż w literaturze historycznej nie wiem dlaczego, ale na ten istotny przecież fakt jednak nie zwraca się absolutnie żadnej uwagi. To osiedle robotnicze w stosunku jednak do drugiego też robotniczego z „Rurkowni Huldczyńskiego”, ale rozlokowanego przy uliczce Nowopogońskiej, było jednak zupełnie odmiennie zabudowane i to nie tylko pod względem architektonicznym, ale też pod względem rozlokowania samych budynków mieszkalnych na tym terenie.

Właściwie to wielu współczesnych mieszkańców z Sosnowca absolutnie o tym nie wie, że na tym rozległym terenie, pomiędzy rzeką Czarną Przemszą, a linią Kolejową Warszawsko – Wiedeńską, stało przez dziesiątki lat, i to **już od czasów zaborów carskich**, nie jedno osiedle, ale dwa zupełnie różniące się między sobą osiedla robotnicze. Różnic oczywiście jak w takich sytuacjach bywa, było bez liku wiele. Najważniejsze z nich charakteryzowały się w zupełnie odmiennej zabudowie architektonicznej samych budynków mieszkalnych jak i w budynkach o charakterze użyteczności publicznej oraz w ich usytuowaniu na tym rozległym terenie. Pierwsze nie do ogarnięcia ludzkimi zmysłami wyburzenia tych osiedli, niestety ale już nastąpiły pod koniec lat 60. XX wieku. Wyburzenia i tworzenie na tych terenach nowej tkanki zabudowy przybrały już wówczas takie niewyobrażalne oblicze, że właściwie w ciągu zaledwie tylko kilkunastu lat zniknął z powierzchni ziemi olbrzymi fragment sosnowieckich zabudowy, którą mieszkańcy tej ziemi wznosili od czasów końcowych lat XIX wieku. Obecnie więc te tereny już w niczym absolutnie nie przypominają tych jakie tu były jeszcze widoczne w latach 60. XX wieku. Skala bowiem niewyobrażalnych wyburzeń i zmian infrastruktury, na tym tylko terenie, uległa aż takim niewyobrażalnym przeobrażeniom, że aby przybliżyć wizualnie opis tematyczny tylko tych dwóch osiedli i sąsiednich skrawków terenu z jakimi graniczyły, to zmuszony jestem posłużyć się poniższym odręcznym szkicem, który jak mi się wydaje, bardziej przejrzyste jednak przemówi do czytelnika, niż tylko przekaz w postaci potoku suchych słów.



Szkic sytuacyjny dawnego osiedla robotniczego, zwanego popularnie jako „Białe Domy”. Oznaczenia: - **17** – „**Rurkownia Huldczyńskiego**”, **18** – zakłady włókiennicze Dietla (po 1945 r. „Politex”), **8** - kanał odpływowy od stawu w „Parku Renardowskim” (obecnie Park Sielecki) i śluza kanałowo odpływowa, **9** – ceglasty ozdobny murek oporowy jaki się ciągnął od uroczego budynku „Renardowskiej Stacji Pomp” na sporym odcinku wzdłuż rzeki Czarnej Przemszy, aż do muru oporowego przy niewykończonym jeszcze wtedy kościele pw. Niepokalanego Poczęcia NMP, **C** – tereny osadników Dietla, **4** – osadniki fabryczne, **2** – ściek wodny z odpadów poprodukcyjnych z zakładów włókienniczych Dietla, **19** – przebiegająca pod jezdnią ulicy 3 Maja i torami kolejowymi rura ścieku wodnego z fabryki włókienniczej Dietla (wysadzona przez saperów niemieckich w styczniu 1945r.), **D** - **8** hektarowe tereny ogrodów warzywno-owocowych Dietla (obecne tereny Parku Sieleckiego, **E** – **Park Renardowski** (obecnie zwany Parkiem Sieleckim), **F** - tereny placu kościoła pw. Niepokalanego Poczęcia NMP, **10** – drucziana siatka z podmurówką kamienną odgradzającą tereny kościoła pw. Niepokalanego Poczęcia NMP od Parku Renardowskiego. Pozostałe znaki opisałem w tekście.

Nie znam istotnej przyczyny, ale jak doskonale to jeszcze pamiętam, to od zawsze bardziej sobie ceniono otrzymanie kluczy do stojących jeszcze obecnie dwóch koszarowych bloków mieszkalnych, które były i są nadal usytuowane w pobliżu linii Kolei Warszawsko – Wiedeńskiej (wg szkicu sytuacyjnego – numery budynków **1A** i **2A**), niż do leżącego ceglatego osiedla ciągnącego się przy samej już rzece Czarnej Przemszy (wg szkicu sytuacyjnego są to budynki mieszkalne **4B** i **5B**). To było wśród mieszkańców z tych dwóch osiedli, a nawet z osiedla z Placu Tadeusza Kościuszki, gdzie jeszcze wtedy mieszkał autor tego artykułu, wprost dostrzegalne nawet goły okiem i to pod wieloma względami.

To drugie ceglaste osiedle, usytuowane prawie przy samym brzegu rzeki Czarnej Przemszy, od zawsze bowiem traktowano po macoszemu, jako coś niby gorszego, przeznaczonego wyłącznie tylko dla osób z niższej kategorii kulturalnej i intelektualnej, niby też dla robotników, ale jednak najbardziej już ubogich i w zasadzie obsługujących te dwa osiedla oraz budynki użyteczności publicznej, takie między innymi jak łaźnia osiedlowa (wg szkicu orientacyjnego – **3B**), kostnica osiedlowa (wg szkicu orientacyjnego - **2B**), stajnia (wg. szkicu orientacyjnego – **1B**), czy całodobowe stróżowanie, itp., itd. Jednak co jest bardzo istotne i na co proszę też zwrócić uwagę. Na przestrzeni wielu, wielu lat, czyli od końca XIX wieku, aż do lat powojennych (po 1945 roku) ta sytuacja przedstawiała się jednak różnie, to nie był bowiem stały i nienaruszalny konglomerat tych cech, o czym więcej poniżej.

W zasadzie te dwa osiedla pod względem zabudowy, a nawet i stróżowania na przestrzeni lat 1914 – 1949, zupełnie się prawie nie zmieniały, więc autor dokona ich opisów z autopsji, tak dosłownie jak to widział swymi wечно szeroko otwartymi oczami od czasów okupacji niemieckiej do lat 60. XX w. i jak to zapamiętał też z rzetelnych przekazów rodzinnych, koleżeńskich i od grona wielu podwórkowych przyjaciół. Trudno bowiem nie pamiętać tego, gdzie spędziłem prawie całe swoje dzieciństwo i wiele też lat ze swej młodości.

Dwa koszarowe usytuowane szeregowo trzykondygnacyjne budynki osiedla mieszkaniowego, na szkicu sytuacyjnym oznaczone numerami **1A** i **2A**, jakie tu już postawiono pod koniec XIX wieku przetrwały nie tylko okres zaborów Rosji carskiej, ale dwie wojny światowe i dwie okupacje niemieckie (1914 -1918 i 1939- 1945) oraz cały długi jeszcze okres powojenny i stoją tam jeszcze do dzisiaj. A są to dwa budynki, surowo otynkowane i podpiwniczone (wg szkicu sytuacyjnego **1A** i **2A**). Do korytarzowych wewnątrz każdego z tych dwóch budynków prowadzą od chwili ich tylko postawienia dwa zupełnie oddzielne wejścia. Dosłownie tylko dwa. Jedno z nich jest widoczne na poniżej prezentowanym zdjęciu po lewej stronie.



Zdjęcie autora z 2007 roku. Po lewej stronie widoczne wejście z podwórka do klatki schodowej. Na drugiej kondygnacji, ale już po lewej stronie, tuż, tuż przy ciągnącej się w dół rynnie dachowej, dwa kolejne okna, to jednoizbowe mieszkanie mojej mamy. Kiedy to już została eksmitowana po śmierci mojego ojca, Ludwika Maszczyka (umarł w 1954 r.). Moja mama z kolei umrze w tym kuchennym mieszkaniu w 1995 roku. (więcej na ten temat w artykule:- [TAJNE KONSPIRACYJNE NAUCZANIE](http://www.wobiektywie2018.5v.pl) – opublikowane na mojej stronie internetowej-www.wobiektywie2018.5v.pl).



„Białe Domy”. Zdjęcie autora z 2007 roku. Na zdjęciu widoczny po lewej stronie budynek **1A** i po prawej stronie zaledwie tylko fragment drugiego budynku – **2A**. W miejscu rosnących pierwszych drzew vis-à-vis widocznych budynków, stały komórki, a nad nimi zabudowano jeszcze pralnie i suszarnie (na szkicu orientacyjnym są to numery **3A, 4A, 5A i 6A**). Widoczna z samego przodu trawa, to już dawne tereny pracowniczych ogródków. Ten fragment

widocznej po lewej stronie drogi, czy później ulicy na przestrzeni kilkudziesięciu lat nie uległ prawie absolutnie żadnym zmianom. Poza pokryciem jezdnii asfaltem i zburzeniu precudownego kamiennego muru oporowego od strony kolei. Po lewej stronie trasa Kolei Warszawsko – Wiedeńskiej i niewidoczne zabudowania dawnej „Rurkowni Huldczyńskiego”. W oddali widoczny fragment Placu Tadeusza Kościuszki.

Taka konstrukcja architektoniczna spowodowała to, że widoczny na zdjęciach jeden długi w swej zabudowie budynek w rzeczywistości składał się z dwóch zupełnie oddzielnych brył mieszkalnych. Z zewnątrz przedzielała bowiem je tylko rynna jaka ciągnęła się z dachu aż do samego klepiskowego podwórka. Każdy z tych dwóch budynków mieszkalnych (**1A i 2A**) był wyposażony w stosunkowo duże pod względem powierzchni izby, od 15 do około 26, a nawet i 30 metrów kw. i wysokie na około 305 cm. Początkowo najemca – wraz z rodziną otrzymywali jednak zaledwie tylko dwie izby. Tradycyjnie przez mieszkańców określane jako **kuchnię i pokój gościnny**. Były jednak też takie przypadki, że jednej rodzinie przyznawano trzy izby, czyli **kuchnię, pokój gościnny i sypialnię**. Wszystkie kuchnie w tych dwóch budynkach były opalane tradycyjnym **piecem węglowym**, a z kolei w pozostałych izbach, czyli w pokoju gościnnym i sypialni, opalano je wysokimi na około dwa metry białymi piecami kafłowymi z tak zwanym szklącym „blicem berlińskim”. Na każdym piętrze każdego budynku, przydział otrzymywały w zasadzie tylko cztery rodziny, czyli w jednym trzykondygnacyjnym korytarzu szczęśliwcami zostawało zaledwie tylko dwanaście rodzin, a w budynku koszarowym, który się składał z dwóch oddzielnych ale zespolonych ze sobą dwóch części zaledwie tylko dwadzieścia cztery rodziny. W dwóch budynkach klucze szczęścia otrzymało więc czterdzieści osiem rodzin. Tak przynajmniej oficjalnie prezentowała się struktura mieszkaniowa jeszcze w okresie zaborów Rosji carskiej, gdy te bloki mieszkalne zaledwie tylko postawiono. Ponieważ jednak Polacy już z natury potrafili zręcznie sobie w trudnych chwilach radzić, czy wręcz nawet kombinować, więc – jak wspominali to moi rodzice – to zdarzały się już „za cara” takie przypadki, że w dwóch izbach mieszkał też tylko jeden samotny robotnik. Przydziały ilości izb poszczególnym rodzinom, na przestrzeni dziesiątek lat ulegały już jednak tak wielu zmianom, że trudno jest obecnie to zagadnienie opisać merytorycznie, zgodnie z prawdą obiektywną. Wyjątkowy jednak kołowrotek w przydziale mieszkań i przymusowych dokwaterowań oraz eksmisji lokatorów, szczególnie osób samotnych, nastąpił dopiero już jednak po 1945 roku.

* * * *

Do każdego budynku mieszkalnego prowadziły dwa oddzielne korytarze i aż na trzecią kondygnację solidne kamienne schody, z ulokowanymi po jednej stronie metalowymi kutymi i ozdobnymi poręczami. Każdy budynek był podpiwniczony. W jednym pionie budynku, w jego podziemiach, czyli w szerokim i mrocznym bielonym piwnicznym korytarzu, po dwóch jego stronach umieszczonych zostało 14 piwnic, a w całym budynku (wg szkicu - **1A**) 28 piwnic. Czyli w dwóch budynkach (wg szkicu - **1A i 2A**) do dyspozycji lokatorów przeznaczono 56 piwnic. Nie wszystkie jednak piwnice lokatorskie dysponowały tą samą powierzchnią użytkową. Te w końcowej fazie długiego korytarza piwnicznego były znacznie większe od innych. Ponadto przynajmniej jedna piwnica w każdym pionie budynku była przeznaczona do różnych wspólnych lokatorskich użytkowych zadań. Tak przynajmniej było jeszcze do czasów okupacji niemieckiej. Pamiętam, że w jednej tego typu piwnicy jeszcze w czasach okupacji niemieckiej był piec kuchenny, jednak już nie był przez nikogo użytkowany. Do ciemnych i nigdy od końca XIX wieku czasów nierementowanych piwnic schodziło się zawsze po koślawych kamiennych schodach, które jeszcze do dzisiaj jak sądzę w takim stanie przetrwały. Przynajmniej taki ich stan techniczny był do roku 1995, gdy jeszcze w jednej izdebce, po przymusowej eksmisji z Placu Tadeusza Kościuszki zamieszkała też tam moja mama, Stefania Maszczyk.

W okresie okupacji niemieckiej piwnice te jak na ironię, miały też służyć mieszkającym tam Polakom jako schrony przeciwlotnicze. W tym celu administracja niemiecka wykuła w korytarzu piwnicznym podziemny kanał przejściowy, tak by można się było przedostać z jednego koszarowego budynku do

drugiego. Jednak każdy rozsądny mieszkaniec z tego osiedla zdawał sobie wtedy sprawę, że ta archaiczna konstrukcja budynków absolutnie nie jest w stanie wytrzymać uderzenia i podmuchów nawet o najniższym rażeniu bomby lotniczej, czy pocisku artyleryjskiego. Te ponoć tajemne i znane mi podziemne ewakuacyjne przejścia jednak już po 1945 roku zamurowano.

Obok tych dwóch budynków mieszkalnych (wg szkicu - **1A i 2A**) na całej ich długości, od XIX wieku ciągnęło się o szerokości na około 30 – 40 m klepiskowe podwórko, którego jeszcze fragmenty jednak już nie w takim stanie jak dawniej jest jednak jeszcze widoczny na poniższym prezentowanym przez autora zdjęciu. Na tym samym zdjęciu jednak już po lewej stronie, czyli od strony centrum Sosnowca, też na całej długości rozlokowane były 4 zupełnie oddzielne od siebie wysokie i obszerne gabarytowo ceglaste piętrowe zabudowania (wg szkicu - **3A, 4A, 5A i 6A**) a poza nimi ciągnęły się już tylko pracownicze ogródki. Na parterze tych zabudowań w jednym ciągu mieściły się komórki, a dopiero powyżej tych komórek usadowiono jeszcze wyjątkowo obszerne i wysokie na ponad 3 do 4 metrów o skośnym dachu pralnie i suszarnie białiny. W ciągu tych zabudowań komórki w wygospodarowanym stosunkowo dużym pomieszczeniu, mieściła się ręczna, prosta, drewniana magiel (wg szkicu w pomieszczeniu - **3A**).



Zdjęcie autora z 2007 roku utrwalone od strony rzeki Czarnej Przemsz. Podwórko dawniej było znacznie szersze i pozbawione jakichkolwiek roślin. Widoczny chodnik obok budynków, to już inwestycja po 1945 roku. Dawniej, aż do lat 40. XX wieku, na całej długości, zamiast płyt chodnikowych ciągnął się wyprofilowany z kamieni wapiennych „rynsztok”, którego zadaniem było odprowadzanie gromadzącej się tam głównie dachowej wody, która sphywała metalowym widocznym na zdjęciu dachową rynną, a której końcówki kończyły się już tuż, tuż nad „rynsztokiem”. Zdarzały się jednak też takie przypadki, że nadmiar wody jaki zgromadził się w kamiennym „rynsztoku” wdzierał się poprzez ułożone nisko nad ziemią okienko do piwnic.

Suszarnie i pralnie białiny były czterokomorowe (wg szkicu - **3A, 4A, 5A i 6A**), a wejścia do nich były usytuowane po dwóch przeciwstawnych stronach każdej z komór. Po prostu do ich wnętrza wchodziło się poprzez dwie wygospodarowane na ten cel komórki. Do każdej więc pralni i suszarni w jednym segmencie zabudowy koszarowego budynku (np.: **3A**) prowadziły dwa oddzielne korytarze i strome drewniane, ale solidnie wykonane schody oraz poręcze. Każda komora pralni i suszarni była odgródzona od drugiej, ścianą z grubych desek. Natomiast zewnętrzne ich ściany zarówno te od strony podwórka jak i pracowniczych ogródków (na szkicu pracownicze ogródki oznaczono symbolem - **B**)

były już wykonane z czerwono – brązowego ale porowatego ceglatego lica. Początkowo w górnych pomieszczeniach suszarni i pralni, od strony budynków mieszkalnych wszystkie okienka w pralniach i suszarniach były oszklone i otwierane, a po drugiej, przeciwległej stronie, czyli od strony pracowniczych ogródków, mieściły się z kolei w ceglastej zabudowie ściany już tylko trzy pionowe szczeliny o długości około 1metra i szerokości około 10 cm szerokości, których zadaniem było skuteczne przewietrzanie wnętrza. To była jak na tamte odległe czasy swoista wentylacja tych specyficznych wnętrz użytkowych, bowiem wilgoć w trakcie prania i suszenia bielizny wszak dominowała tu wszędzie. Jednak już niebawem zamieszkujący to osiedle lokatorzy przystąpili do ich demolki. Oczywiście sprawców dewastacji jak to najczęściej u nas bywa nigdy nie ujęto. Najpierw więc we wszystkich oknach wybito wszystkie szyby, a później wśród mieszkańców rozeszła się jeszcze plotka, że dokonywane są w tych pomieszczeniach kradzieże suszącej się tam bielizny. Więc już niedługo wszystkie komory całkowicie opustoszały i to na zawsze, a inne jak to zwykle u nas bywa zamieniono już po znajomości, na duże prywatne pomieszczenia, w tym i na obszerne gołębniki. Początkowo każda rodzina dysponowała komórką i piwnicą. Później bywało już jednak różnie. W latach 60. XX wieku, gdy w majestacie prawa zburzono już zabytkowe i bajecznie urocze ciągi piętrowych zabudowań, komórek i suszarni, to dla lokatorów pozostały już tylko bielone, a później już tylko brudne i obskurne piwnice.

Mieszkania lokatorskie na każdym piętrze były rozlokowane po dwóch stronach ciągnącego się na około 10,00 metrów i szerokiego na około od 2,5 do 3,00 metrów korytarza, określanego przez stare jeszcze przedwojenne pokolenie jako - „Antre”. Do „Antre” na każdym piętrze można się więc było z korytarza dostać wyłącznie tylko poprzez zabudowę drzwiową. W początkowej fazie gdy budynki w XIX wieku oddawano już lokatorom, to drzwi wiodące do „Antre” były wykonane z niezwykle malowniczego asortymentu, gdyż tworzył je zespół kilkudziesięciu małych okienek wmontowanych w niezwykle efektowną pod względem wystroju architektonicznego zabudowę drewnianą, powleczoną malowniczą jaskrawą farbą olejną. Drzwi wiodące z korytarza do „Antre” były od zawsze jak tylko pamiętam zamykane na klucz. Na framudze drzwi jeszcze podczas okupacji niemieckiej po ich lewej stronie umieszczone były więc oddzielne dla każdego lokatora opisane imiennie dzwonki elektryczne. Jednak z biegiem lat prawie nigdy nieremontowane przez administrację fabryczną i do tego jeszcze dewastowane przez samych też lokatorów, więc do lat 60. XX wieku przetrwały tylko nieliczne. Podobnie w wielu korytarzach uległy też zniszczeniu dawne ozdobne drewniane ściany wiodące z korytarza do „Antre”. A w niektórych nawet przypadkach zupełnie zniknęły z firmamentu architektonicznego tego osiedla. Każdy lokator w przydzielonym mieszkaniu (w kuchni) posiadał kran z bieżącą wodą, a pod nim był jeszcze zamontowany prosty żeliwny zlew. W każdym wnętrzu „Antre” dla lokatorów mieściła się też zbiorcza gustownie jednak zabudowana ubikacja z muszlą ceramiczną. W przeciwieństwie do mieszkań z Placu Tadeusza Kościuszki ani jedno z mieszkań nie było jednak wyposażone w łazienkę, czy wolno stojącą w kuchni wannę.

* * * *

Całe osiedle aż do stycznia 1945 roku, było ogrodzone i zamiennie dozorowane, czyli pilnowane przez tak zwanych **stróży podwórkowych**, którzy mieli swą stałą siedzibę w specjalnej murowanej „budce” na środku podwórka (oznaczone na szkicu - **7A**), a z kolei przydział służbowego małego mieszkania, przynajmniej jeden z nich jak pamiętam, otrzymał opodal rzeki w jednym z nadrzecznych ceglanych budynków (oznaczone na szkicu - **4B** lub **5B**). Budynki koszarowe **1A** i **2A** od drugiej strony łączył wysoki typowy drewniany parkan (wg szkicu – **11A**). Na teren osiedla można więc było dotrzeć wyłącznie tylko poprzez dwa wejścia, które na szkicu oznaczyłem jako: - **8A** i **9A**. Oczywiście te zabezpieczenia nie dotyczyły absolutnie profesjonalnych złodziei, tylko kulturalnych ludzi.

Z tym, że od zmieniającej się na przestrzeni lat ulicy, w pięknie wyprofilowanym ceglстым murze, była umieszczona dwuskrzydłowa drewniana brama i furtka dla pieszych (wg szkicu - **9A**). Natomiast już po drugiej stronie podwórka, czyli od strony rzeki Czarnej Przemszy, też w efektownie wyprofilowanym ceglстым murze, nie było bramy tylko wyłącznie drewniana furtka dla pieszych (wg szkicu - **8A**). Furtki i bramę w porze nocnej, około godziny 22,00 już jednak zamykano na klucz. Zawsze tej ceremonii dokonywał dyżurujący w danym dniu stróż. Zadaniem stróża podwórkowego było nie tylko dozorowanie

tego osiedla, ale dbanie też o porządek na podwórku i w pomieszczeniach użyteczności publicznej (jak pralnie i suszarnie). Po 1945 roku stróż podwórkowy nagle okazał się zbędny, więc przeobraził się w dozorcę, a w kilkanaście miesięcy później to robotnicze stanowisko zostało już całkowicie zlikwidowane. Wtedy to dopiero, na skutek braku całodobowego dozoru, rozpoczęła się typowa polska kradzież i demolka. Kradziono więc prawie wszystkiego co tylko można było pod pachę lub pod płaszczem czy marynarką ukryć, przy okazji też niszczone, gdyż była to przecież własność wspólna, czyli w mniemaniu złodziei – niczyja. Jak zwykle w takich sytuacjach bywało, to ponoć sprawcami tych niecznych czynów byli jednak nie rdzenni mieszkańcy z tego robotniczego osiedla mieszkaniowego, tylko zupełnie obcy ludzie, najczęściej jednak przybysze z rodowodem wiejskim. Co oczywiście było typową naszą polską przywarą, gdyż złodziejami i łobuzami niszczącymi prawie wszystko co popadnie wszak byli też miejscowi trudni jednak do wykrycia zdemoralizowani osobnicy. Po prostu pośród nas, zbyt wielu takich jednak bywa.

Początkowo wszelkie remonty tych trzech kondygnacyjnych budynków (wg szkicu **1A** i **2A**), w tym najczęściej sukcesywne krycie dachów papą, dokonywano z wielką celebracją. Papa dachowa bowiem miała zawsze jak tylko pamiętam licznych zwolenników, którzy chętnie zamieniali starą, zniszczoną – na nową. Najczęściej wymianę starej i przeciekającej już papy dachowej dokonywano wtedy, gdy już nastały dni słonecznej wiosny lub gorącego lata. Wówczas to na środku podwórka z samego już rana ekipa remontowa na rozstawionych już wcześniej ceglach stawiała wielką metalową, solidną beczkę, w której znajdowała się zastygła jak skała smoła. Następnie pod beczką rozpalano ognisko. Później dopiero, gdy beczka już mocno „kopciała” to konną platformą dowożono zwoje papy dachowej. Gdy rozpalone pod beczką ognisko już rozpuszczało na tyle smołę, że jej czarne bąbelki zaczęły skwierczeć, a specyficzna woń niemilosiernie zaczęła się też wdzierać poprzez otwarte okna do mieszkań, to wówczas dopiero specjalna ekipa „**speców dachowych**” – jak ich wtedy określano - przystępowała do zasadniczej „roboty”. Wtedy pierwszym zadaniem ekipy remontowej było dostarczenie na te dwa wysokie budynki zarówno odpowiednią ilość zwojów nowej papy jak również pokrycia jej gorącą, tłustą smołą. Smołę na dach wciągano na linie w specjalnych małych metalowych pojemnikach. Podobnie liną na specjalnie zawieszonych rolce, wciągano też na dach zwoje papy. Zużyte dachowe elementy jednak nie transportowano tylko zrzucano z dachu na podwórko. Natomiast sami już „dacharze” do czasów II Rzeczypospolitej Polski i jeszcze w okresie okupacji niemieckiej (1939 – 1945), na dachy tych dwóch budynków docierali wyłącznie tylko z korytarza, z każdej trzeciej kondygnacji poprzez wmontowany w suficie specjalny zamykany właz. Później dopiero do jednego z bloków stojącego od strony kolei (wg szkicu - **1A**), ale już za czasów II Rzeczypospolitej Polski (rok?), przytwierdzono do budynku metalową rurkowo – płaskownikową drabinę (wg szkicu - **10A**), a dachy tych dwóch budynków połączono specjalną drewnianą kładką z poręczą. Taka konstrukcja dotarcia na dachy tych dwóch budynków przynajmniej funkcjonowała tam jeszcze do lat 50. XX wieku. Obecnie tej metalowej drabiny tam jednak już nie zauważyłem (grudzień 2016 r.). Możliwe więc, że na dachy tych dwóch budynków dociera się obecnie tak jak jeszcze w XIX wieku, czyli poprzez właz sufitowy z „**Antre**”, lub innym jeszcze sposobem.

Jako ciekawostkę, warto chyba jeszcze wspomnieć, że tylko w tym jednym, jedynym koszarowym budynku usytuowanym od strony dawnej Kolei Warszawsko – Wiedeńskiej, mieszkali nie tylko normalni robotnicy, którzy w pocie czoła, najpierw w „Rurkowni Huldczyńskiego”, a po 1945 roku już Hucie „Sosnowiec” chcieli po prostu swą mozolną pracą zarobić, by utrzymać siebie i swoje rodziny. Ale też tacy czołowi aktywiści komunistyczni i to nie tylko działający na terenach samego Sosnowca ale i Zagłębia Dąbrowskiego jak: towarzysze: Cz. G., J. P., Z. D., E. P.

O, których pan profesor Henryk Rechowicz wspomina na kilku co najmniej karatach swej publikacji książkowej: Sosnowiec. Zarys rozwoju miasta. Wyd. PWN. Warszawa – Kraków, 1977 (s. 126, 127, 132). Co jest w tym wszystkim jednak nadal ciekawe i powinno też budzić uzasadnione zdziwienie. Ano to, że ani tacy działacze komunistyczni jak pan profesor Henryk Rechowicz, podobnie jak pan dr Jan Przemsza Zieliński, ani inni też znani historycy z Sosnowca nie wspominają o tym, że J.P. mieszkający w Sosnowcu przy ulicy Czerwonego Zagłębia był ponoć jedynym z Sosnowca działaczem komunistycznym z tego miasta, który brał też udział w słynnym w 1917 roku szturmie na Pałac Zimowy w Piotrogradzie. Według wspomnień jakie mi przekazał kilkanaście lat temu, jeden z dalszych członków tej rodziny, pan Z. B., to podobno był do tego stopnia wysoko notowany w hierarchii sosnowieckich komunistów, że dygnitarz komunistyczny z ZSRR jadący pociągiem pośpiesznym z Katowic do

Warszawy, to się nawet zatrzymał na jeden dzień w Sosnowcu, by nie tylko uścisnąć bratnią dłoń towarzysza J.P., ale przeprowadzić też z nim intymną rozmowę.

CEGLASTE ROBOTNICZE OSIEDLE Z „BIAŁYCH DOMÓW”

Ceglaste Osiedle robotnicze nadrzeczne zaczęto już stawiać pod koniec XIX wieku, podobnie zresztą jak to drugie koszarowe obok. Początkowo wszystkie zabudowania z tego osiedla były pokryte jednolitą chropowatą cegłą, której lica były koloru czerwono – brązowego (na szkicu oznaczone jako - **1B**, **2B**, **3B**, **4B** i **5B**). Dopiero pod koniec II Rzeczypospolitej Polski, jak twierdzą jedni, czy w okresie okupacji niemieckiej jak z kolei twierdzą inni, wybudowano też długi, otynkowany budynek, w którym mieściły się garaże. O ile się nie mylę, to na sześć dużych samochodów ciężarowych (na szkicu ten budynek jest oznaczony jako - **6B**). Do tego budynku jeszcze powrócę w dalszej części tej publikacji.

To osiedle z jednej strony, czyli od strony Placu Tadeusza Kościuszki, było odgródzone parkanem z drewna od pracowniczych dyrektorsko - urzędniczych i kierowniczych ogródków działkowych (na szkicu ogródki zaznaczone literką - **A**). Są też tacy, którym trudno odmówić słuszności, że nie był to absolutnie drewniany parkan, ale gustownie wykonany prosty płot (wg szkicu – **7B**). Zresztą był to taki sam płot, czyli z tych samych listew drewnianych i identycznej konstrukcji wspierającej elementy drewniane jak się wił jak wąż od samego Placu Tadeusza Kościuszki aż do samego dietlowskiego Osiedla Mieszkaniowego przy dawnej ulicy Parkowej.

Wszystkie zabudowania z ceglatego osiedla robotniczego zostały już jednak zburzone w latach 70. XX wieku. Nie znam jednak obiektywnej przyczyny, gdyż jako zabytkowe obiekty mogły zostać z powodzeniem zaadaptowane na różne społeczne cele. Te zabudowania usytuowano tak blisko płynącej jeszcze wtedy nieuregulowanej rzeki, że na całej długości brzeg rzeczny musiano jeszcze dodatkowo wzmocnić wielkimi ale ozdobnymi kamieniami wapiennymi. W ten sposób powstała urocza kamienna skarpa nadrzeczna, która wzdłuż ceglanych zabudowań ciągnęła się przez co najmniej kilkadziesiąt metrów. Obok tej malowniczej skarpy ciągnął się dopiero zielony pas nadbrzeżny szerokości około 1 metra, który w dalszej części w okolicy jednak już pracowniczych ogródków (pracownicze ogródki oznaczone literką – **B**) znacznie się poszerzał i łagodnie zatapiał w krystalicznie jeszcze wtedy płynącej Czarnej Przemszy. Sam brzeg na części zabudowanej o tyle jednak musiano wtedy wzmocnić, gdyż nieujarzmiona jeszcze wtedy rzeka w okresie wiosennym wdzierала się niemal na podwórko i podtapiała cały rejon mieszkalny. Oprócz dwóch budynków mieszkalnych w tym samym ciągu stały tam jeszcze inne, takie jak: łaźnia osiedlowa (wg szkicu - **3B**), kostnica (wg szkicu - **2B**) i stajnia (wg szkicu - **1B**). Z tym, że sam karawan na specyficznych resorach, niezwykle dostojnie ozdobny był przetrzymywany nie na terenie „Białych Domów” lecz w specjalnym niezwykle ozdobnym budynku jaki stał obok rzeki Czarnej Przemszy i pracowniczych ogródków kierowniczo – urzędniczych ale przy Placu Tadeusza Kościuszki.

Jak już wyżej zasygnalizowałem to prawdopodobnie dopiero w okresie okupacji niemieckiej na tym rozległym terenie klepiskowego podwórka ale od strony Placu Tadeusza Kościuszki wzniesiono jeszcze jeden tym razem szeroki i podłużny garaż wielobokowy dla samochodów ciężarowych (na szkicu oznaczony jako **6B**). Stał tam jeszcze do lat 50. XX w. cały otynkowany jak sąsiadujące z nim koszarowe budynki **1A** i **2A**, po prawej stronie na obecnie już zalanym asfaltem placu, mniej więcej w miejscu widocznego na poniższym zdjęciu drzewa. Do tego budynku – garażu jeszcze powrócę w dalszej części tej publikacji.



Powyżej zdjęcie z 2007 roku. Podwórko jakie się ciągnęło pomiędzy „**Białymi Domami**” (1A i 2A), a szerokim pasem pracowniczych ogródków dyrektorsko, kierowniczo – urzędniczych (na szkicu pracownicze ogródki oznaczono symbolem – „A”). Widoczny pas podwórka przez dziesiątki lat był wyłącznie tylko klepiskowy, podobnie jak podwórko po drugiej stronie tych dwóch bloków mieszkalnych. To po prawej stronie, mniej więcej gdzie rośnie obecnie drzewo, dawniej był usytuowany kilkuboksowy garaż (wg szkicu - 6B).

* * * *

W dwóch ceglanych budynkach mieszkalnych najczęściej lokatorami byli robotnicy, którzy zatrudnieni byli na tym osiedlu przy różnych pracach w charakterze pracowników administracyjnych. Byli to zarówno stróże podwórkowi jak i pracownicy fizyczni obsługujący łaźnię, stajnię itd. Jednym z podziwianych przez dzieci lokatorów tego ceglatego osiedla był pan Jagodziński (imię?), który opiekował się dwoma dorodnymi końmi. Obok wyjątkowo obszernej stajni było jeszcze jedno wygoształdowane o sporej kubaturze pomieszczenie na paszę dla koni. Przypominam sobie jak do tego pomieszczenia pewnego dnia, późną już wiosną po 1945 roku przywieziono ogromne sterty siana i słomy. Skokom wraz z kolegami na świeżym i pachnącym sianie nie było więc w tym dniu widać końca. Te piękne konie bardzo często w godzinach popołudniowych kąpały się w nurtach płynącej obok tego budynku rzeki. Rzeka w tym akurat miejscu była na tyle głęboka, że konie tylko w pobliżu brzegu mogły swobodnie brodzić w wodzie, natomiast już bliżej środka rzeki zapadały się aż po samą szyję.

Do tego ceglatego budynku był doklejony kolejny, jednak bardziej już podłużny i znacznie niższy od poprzedniego, a była nim **osiedlowa kostnica** (wg szkicu - 2B). Nie potrafię tego rzeczowo określić ale niezbyt miłe to zabudowanie jednak wspominam. Ilekroć bowiem ten budynek podczas niewoli niemieckiej (1939-1945) miałem to lęk okupacyjny akurat tutaj jeszcze bardziej wzmacniał się i trawił moją duszę. To tutaj też na tym pustawym i jakby wiecznym żałobnym i wyludnionym podwórku, jeszcze się bardziej potęgował i zaciskał też smutek, dławiąc moją dziecięcą i wrażliwą jeszcze krtań. Do wnętrza tego ceglatego, ale jednak posępnego budynku prowadziły tylko jedne ale dwuskrzydłowe drzwi, pokryte charakterystycznie wiecznym łuszczącą się farbą. A po dwóch stronach tych drzwi wmontowane były jeszcze dwa okna, które jednak składały się z malutkich kilkudziesięciu szybek. Poprzez te malutkie szybki, wiecznym jednak zamglone widać było jednak w tym mrocznym pomieszczeniu długie nagie stoły a na nich niekiedy leżące też zwłoki zmarłych nieznanym nam jednak dzieciom ludzi z „Białych Domów”. Leżeli na marach sztywni i wyciągnięci, niekiedy jeszcze nadzy, z zaciśniętą już jednak w martwych dłoniach książeczką do modlitwy. Inni, a tacy też niekiedy bywali, spoczywali już odziani w otwartych trumnach.

Obok tej kostnicy stał o stosunkowo dużej powierzchni kolejny też podłużny budynek, a była nim – **osiedlowa łaźnia** (wg szkicu - **3B**). Z osiedlowej łaźni, za wyjątkowo drobnouiteńką opłatą, przez dziesiątki lat mogli korzystać dosłownie wszyscy pracownicy zatrudnieni w „Rurkowni Huldczyńskiego”. W rzeczywistości korzystali z niej tylko nieliczni robotnicy i to w zasadzie najczęściej tylko z osiedli „Białych Domów”. Jak pamiętam najczęściej było tu gwaro szczególnie w popołudniowe soboty. W tej łaźni jak pamiętam były też wydzielone malutkie zamykane na klucz pomieszczenia, gdzie stała wanna. Natomiast w większych zbiorowych już pomieszczeniach, osobnych dla kobiet i mężczyzn, od sufitu zawieszane były prysznice, a ściany do połowy pokrywały kafelki glazurowe. Pamiętam, że dla wielu moich kolegów z Placu Tadeusza Kościuszki, którzy w swoich mieszkaniach nie posiadali wanien, ta wyrywkowo odwiedzana w sobotnie popołudnia bądź co bądź ale jednak prosta łaźnia, wprawiała ich jednak w niepojęty stan euforii. To pomieszczenie nie cieszyło się jednak swą ofertą wśród starszych wiekiem pracowników z „Rurkowni Huldczyńskiego”, więc po 1945 roku z jej parnych i syczących gorącą wodą pomieszczeń za odpowiednią opłatą mogli już wówczas też korzystać osoby nie tylko niezatrudnione w Hucie „Sosnowiec”. Obok osiedlowej łaźni stały ze sobą zespolone dwa ceglaste, dwukondygnacyjne mieszkalne zabudowania (na szkicu – **4B i 5 B**), w których mieszkali wyłącznie tylko robotnicy administracyjni (stróże podwórkowi oraz pracownicy wykorzystywani też do innych jeszcze prostych robót na tych osiedlach).

Na tym wiecznie wielkim powyginanym i pełnym bruzd podwórku, najczęściej dotychczas pustawym już po 1945 roku, bywało już jednak gwaro, a śmiech dziecięcych okrzyków radości brylował w koło niczym świergot ptaszyn. W dwóch bowiem boksach tego garażu (wg szkicu - **6B**) można było bowiem za drobnouiteńką opłatą wypożyczyć kajak, co dla nas biednych dzieci było to nie tylko ogromną frajdą ale nadzwyczajnym nawet darem Niebios. Całą akcją wypożyczalni kajaków kierował na zmianę wraz ze swoją żoną pan Ziarko (imię?). Był podobnie jak jego niezwykle dobroduszna małżonka, doskonale znany naszej rodzinie, jeszcze z okresu II Rzeczypospolitej Polski. Pan Ziarko jak wspominał mój ojciec był znakomitym i niezwykle kulturalnym fabrycznym **szoferem**, teraz już jednak, czyli po 1945 roku określanym jako **kierowca** samochodu ciężarowego z Huty „Sosnowiec”. Ciężarowy wojskowy samochód jaki pozyskała z demobilu Huta „Sosnowiec” parkował właśnie w jednym z boksów tego obszernego gabarytowo garażu. Z kolei kajaki Huta „Sosnowiec” odziedziczyła po dawnej niemieckiej, miejscowej organizacji **Hitler- Jugend**, popularnie przez nas określanej jako – „HJ” („Młodzież Hitlera”). Była to niemiecka organizacja młodzieżowa NSDAP, stąd zapewne tak doskonale została podczas okupacji niemieckiej wyposażona. Ta hitlerowska młodzieżowa organizacja miała swoją siedzibę w jednej z przybudówek przy Placu Tadeusza Kościuszki. A konkretnie to w stosunkowo niskim budynku zespolonym jednak z luksusowo wyposażonym budynkiem dla dyrekcji i kadry kierowniczej z „Rurkowni Huldczyńskiego”.





Powyżej: - Hitler – Jugend (HJ; popularnie określana jako „Hajot”).

Po 1945 roku dowiedziałem się od mojego ojca, że w tej hitlerowskiej przybudówce, o której dotąd absolutnie nie miałem pojęcia, a przecież mieszkalem obok niej i to zaledwie jakieś kilkadziesiąt metrów, to już podczas okupacji niemieckiej odbywały się zebrania indoktrynacyjne, spotkania Hitler - Jugend, zbiorowe śpiewy oraz składowano też drobny organizacyjny sprzęt. Taki jak werble, trąbki, chorągwie i przeróżne na drewnianych drążkach propagandowe hitlerowskie symbole. Możliwe, że kajaki już wtedy składowano jednak w innym miejscu. Bowiem ja ich nigdy nie widziałem na mojej rzece Czarnej Przemszy. A przecież w okresie okupacji niemieckiej te rejony nie tylko penetrowałem, ale były też miejscem moich najurokliwszych niekończących się zabaw wraz z kolegami. Dopiero już znacznie później dowiedziałem się, że te kajaki podczas okupacji niemieckiej były składowane gdzieś w okolicy **Kanału Gliwickiego**, a do tego podwórkowego garażu dowieziono je dopiero znacznie później. Ponoć gdzieś pod koniec 1944 roku. Kajaki wykonane z dykty, był jednak jak nowe i pachniały lakierem. Były dwuosobowe, długie i szerokie, więc stosunkowo stabilnie trzymały się na wodzie. Wyposażone też zostały w ster, który można było uruchomić nogami za pomocą specjalnego drążka do, którego były przytwierdzone dwie linki oraz w wygodne i ruchome oparcia jak również w drabinki siedzeniowe i wielkie wiosła. Zawsze więc z nieopisaną satysfakcją i radością donosiliśmy je sami bez pomocy starszych osób do toczącej swe wody krystalicznie jeszcze wtedy czystej rzeki Czarnej Przemszy. Jak na małe dzieci, to jednak pokonywaliśmy nimi jednak stosunkowo dalekie odcinki rzeczne i cudowne jej zakola oblepione na całej swej długości bujną i przeróżną w swej krasie roślinnością.



Powyżej i poniżej okolice „Białych Domów” i placu kościelnego, kościoła pw. Niepokalanego Poczęcia NMP. A poza widoczną w oddali kładką to już tereny Placu Tadeusza Kościuszki oraz dawnego browaru Gwarectwa „Hrabia Renard”. Po prawej stronie brakuje już jednak wysokiego na co najmniej od 3 do 4 metrów muru oporowego z kamieni wapiennych. Niezwykle zresztą bajkowo ozdobnego jaki się ciągnął od mostu drewnianego aż do samego „Parku Renardowskiego”. Więcej szczegółów na ten temat w co najmniej kilku moich opublikowanych artykułach.



Po lewej Osiedle Urzędnicze przy Placu Tadeusza Kościuszki, a po prawej dawne tereny browaru Gwarectwa „Hrabia Renard”. A hen w oddali – „Wenecja”.

* * * *

Ogródki działkowe były ogrodzone drewnianym płotem i rozlokowane też były na dużym terenie pomiędzy rzeką Czarną Przemszą i ulicą 3 Maja oraz murami dwupoziomowych komórek i pralni (wg. szkicu orientacyjnego -3A, 4A, 5A i 6A), jak również pomiędzy parkanem ulicznym (wg szkicu orientacyjnego – 13) i płotem granicznym z terenami dietlowskich osadników wodnych (wg szkicu orientacyjnego – 1). Każda więc rodzina z tych położonych obok dwóch osiedli o ile tylko wyraziła na to zgodę to bez problemu otrzymywała ogródek działkowy (ogródki działkowe na szkicu orientacyjnym są oznaczone numerem – B).

Ponieważ wydzielonych ogródków na tym rozległym terenie wygospodarowano stosunkowo dużo, więc przydziały otrzymały też niektóre rodziny urzędnicze z osiedla z Placu Tadeusza Kościuszki. Do roku 1945 nasza rodzina była więc też w posiadaniu właśnie takiego ogródka, położonego w narożniku przyulicznym i deskowego płotu osadnikowego (deskowy płot oznaczono – jako – 1). Naszymi sąsiadami od strony rzeki były dwie rodziny z Placu Tadeusza Kościuszki: państwo Dobosz, a od strony osiedlowych komórek państwo Kasprzykowie. Pamiętam jak jeszcze jako dziecko (lata 1939 – 1945) pomagałem pani Kasprzyk (imię?) zrywać przepyszne rosnące w jej ogródku gruszki. Ponieważ byłem sprawny fizycznie i lekki jak piórko, bowiem wiecznie niedożywiony, więc mogłem się wdrapywać nawet na najwyższe szczyty tego drzewa, bez jakiegokolwiek obawy złamania się jednego z jego konarów. A nagrodą wspinaczkową były darowane mi pyszne, soczyste gruszki. Ogródki te po pewnym już jednak czasie stały się nie tylko oazą bajecznej zieleni i dorodnych rosnących owocowych drzew oraz całych dywanów kwiatów, ale dostarczały też do naszych piwnic i na kuchenne stoły przeróżne warzywa i jarzyny. To był już podczas okupacji niemieckiej jeden wielki uroczy i bajkowy ogród, rozśpiewany tysiącami trelami przez przeróżne ptactwo. A wokół jak tylko wzrok sięgał odbywał się jeszcze nieprawdopodobny taniec przeróżnych kolorowych motyli, ważek i innych jeszcze owadów. Natomiast wśród różnorodnej romantycznej palisady jaka otaczała te ogródki wiły się pokryte trawą i kolorami barwne ścieżki i dróżki. A wokół nich ciągnęły się powykrzywiane w różne strony i o różnej też wysokości płoty. Obrosłe już pnączami zieleni i zastygłymi na nich kolorowymi mchami. Proszę sobie tylko wyobrazić, że jeszcze wówczas, tocząca swe wody rzeka Czarna Przemsza była czysta jak kryształ i pełna też przeróżnej flory i fauny. Korzystali więc z niej również dowoli okoliczni mieszkańcy z „Białych Domów”. Szczególnie w popołudniowe soboty i niedziele. Mimo upływu od tamtych radosnych chwil co najmniej około osiemdziesięciu już lat, to jednak z ogromnym sentymentem wspominam stojącą już na terenie „Parku Renardowskiego” – „**Renardowską Stację Pomp**” i wiodący do niej z terenów ogródków pracowniczych malowniczy metalowy z poręczami mostek (wg szkicu orientacyjnego – 5). Bo właśnie obok tego mostku wiodącego w noc świętojańską, zgromadzeni nad brzegiem rzeki mieszkańcy z „Białych Domów” puszczała na wolno toczącą swe wody Czarnej Przemszy ukwiecone wianki, z palącymi się nań świecami (święto obchodzone w nocy z 23 na 24 czerwca w wigilię świętego Jana Chrzciciela). Byłem też wtedy jednym z nich. Jak już wspominałem po drugiej stronie rzeki stał tajemniczy dla nas maluchów ceglasty podłużny budynek, który od strony rzeki skąpany był w rosnących tam bukietach przeróżnych kwiatów i ozdobnych krzewów. O te kwiaty dbał z ogromnym pietyzmem pan Grabara (imię?). A tym tajemniczym ceglastym zabudowaniem była właśnie stojąca tam od końca XIX wieku „**Renardowska Stacja Pomp**” (wg szkicu orientacyjnego - 6). Docierało się doń z rozśpiewanych ptasimi trelami ogródków poprzez metalowy na czarno pomalowany mostek. Na początku, którego była jeszcze umieszczona ze wszystkich stron zabudowana też metalowa budka. A w tej czarnej jak smoła budce od strony ogródków były jeszcze wmontowane metalowe drzwi, zamykane też każdorazowo przez pana Grabarę. Człowieka o wielkim niespotykanym sercu i wyjątkowej ludzkiej życzliwości. Człowieka, którego uwielbiały wszystkie dzieci. To dzięki temu Panu, co był też zawsze życzliwie ustosunkowany do każdego z nas maluchów, mogłem wielokrotnie podziwiać umieszczone w ceglastej podłużnej hali, ogromne mrużące melodyjnym rytmem pompy ssąco - tłoczące. A stało ich tam wówczas na lśniącej posadzkowej podłodze co najmniej kilkanaście. Ta „**Renardowska Stacja Pomp**”, której powinno się poświęcić zupełnie odrębny artykuł z uwagi na jej niebagatelne znaczenie w tym rejonie Sosnowca, została już jednak zburzona w latach 60. XX wieku. A wszak mogła być muzealną z uwagi na jej historię powstania i eksploatację ciekawostką i ozdobą miasta Sosnowca.

.....

KATOWICE, LISTOPAD 2023 ROK

Janusz Maszczyk